Nr. 58. Lwów — 1889 r. **Rok XII.**

Numer pojedyńczy 15 ct.

ISKRA

Numer pojedyńczy 15 ct.

Czasopismo dla wszystkich illustrowane.

„Goniec“ i **„Iskra“** wychodzą każde po dwa razy na miesiąc, w czwartki — razem cztery razy. Prenumerata *na obydwa pisma* wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami poeztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi drobną kwotę co miesiąc.

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D. Chamski.***

Dobry sposób.



— Marysiu! Bój się Boga — takiś się umorusała!... Umyj-że się — dziś będą goście — dużo panów...

— E, po co się mam myć — tyle mnie na szczypią i na głaszczą po twarzy ci panowie, że się i tak wytrze...

Interesowne pytanie.



— Widzisz, teraz jesień, wszystko żółknie i obumiera.

— A »profesory« w szkole też obumierają?...

Niestety.



— Mój drogi, mój złoty mężulku, kup mi tę bransoletę, a będę ci tak kochała, że będziesz myślał, iż to jest przed ślubem...

— Moja droga, żeby się to mogło stać przed ślubem, to ja bym ci kupił dziesięć bransolet...

Od Administracji.

Szanownych pp. abonentów zalegających w prenumeracie, prosimy usilnie o odnowienie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zaległości takie są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe i po prostu krzywdę jego interesom wyrządzają. Zwracamy też bliższą uwagę pp. prenumeratorów w Ameryce zamieszkałych i prosimy ich o odsełanie zaległej prenumeraty, bo osobna z nimi korespondencja jest kosztowna.

Wszelkie pieniężne należytości prz słać należy w liście rekomendowanym, lub przekazem pocztowym **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie ul. Kraszewskiego liczba 23.**

Kilka słów prawdy dla warszawskiej „Prawdy".

Doczekaliśmy się tego, czego w skutek szerzonej przez rząd rosyjski demoralizacji publicznej, można się było do pewnego stopnia spodziewać, ale najbardziej pesymistyczne usposobienia nie przypuszczały, aby ta demoralizacja publiczna dotknęła także pewne organa dziennikarstwa warszawskiego, które w ogóle, w obec bardzo trudnych warunków, wśród których pracować musi, najzacniej i najpożyteczniej spełnia swoje obowiązki

Od dawna stało się modą, że niektore pisma wychodzące w Warszawie, ostrzyły sobie zęby na Galicji i z przekąsem odzywały się o konstytucyjnych urządzeniach Austrji. Mieliśmy już sposobność przed niedawnym czasem ostro przeciwko temu wystąpić — ale dopóki to było modą, bezmyślnem jakiemś błaznowaniem po prostu, nie potrzeba było tak dalece brać podobnych publicystycznych wybryków kwaśnego humoru, na serjo — dziś jednak nie moda to już, ale systematyczna propaganda obniżania i poniżania tego, co się tu u nas dzieje — propaganda oparta o pewne zapatrywania polityczne, dla których mordująca naszą narodowość polityka rosyjska, otwiera swoje szerokie słowiańskie ramiona...

Oczywiście, nie ma żadnej obawy, aby społeczeństwo polskie za kordonem dało z siebie grunt do takiej pracy politycznej — dowodem tego, między innemi, jest ś. p. *Chwila*, pismo codzienne, które w tym duchu, właśnie było założone i redagowane i które nie mogło znaleść stu prenumeratorów w całej Polsce, a ostatecznie rząd rosyjski, choć się do niego zalotnie redakcja umizgała, nie chciał łożyć na to wydawnictwo, bo naturalnie, byłyby to pieniądze wyrzucone za okno.

Dziś stanęła pod te same sztandary warszawska *Prawda*, którą redaguje pan Świętochowski, wychowaniec, niestety, b. szkoły głównej warszawskiej, autor dramatów o płomiennych postaciach niewieścich, które, ani siebie, ani nikogo, ani nawet samego autora rozgrzać nie mogą i podobno doktór filozofji uniwersytetu lipskiego. W Warszawie należy p. Świętochowski do bezwyznaniowców, których jeszcze tam policzyć można na palcach.

Pamiętamy, jak p. Świętochowski dla przykładu i w celach propagandy antykatolickiej, wyprawiał w Warszawie pogrzeb swojemu rodzonemu dziecku bez udziału duchowieństwa i ceremonij religijnych, a idąc za ciałem spoglądał wyzywająco i z dumą filozofa na przechodniów, którzy zdziwieni i zgorszeni, przed niewinną trumną odkrywali głowy.

Prawda oddawna już w kwestjach dotykających polskich stosunków społecznych napisała tyle n i e p r a w d, że możnaby z nich wybudować pomnik dla p. Świętochowskiego, naturalnie bez krzyża, bo tego pan Świętochowski nie cierpi, a jeśli go z nim kto pogodzi, to chyba... pop prawosławny.

W ostatnich czasach, *Prawda* w sposób bardziej zajadły, jak dawniej, obrzuca błotem nasze życie polskie w Galicji i drwi z tego, co przybyłym z za kordonu wlewa do serc otuchę. Nasza austryjackość irytuje p. Świętochowskiego i nawet oburza, a w to, co się u nas dzieje dobrego, nie wierzy *Prawda*. Nam, właściwie, nic nie zależy na tem, w co pan Świętochowski wierzy, a gdybyśmy go chcieli przekonać, to z pewnością nie szukalibyśmy argumentów w polskiem sumieniu, tylko gdzieindziej... Nie dla przekonania więc *Prawdy*, ani p. Świętochowskiego, ani jego współpracowników, lecz dla zasady piszemy, że podobne szerzenie z gruntu złych i przewrotnych robót politycznych, jakich dokonywa *Prawda* z p. Świętochowskim na czele, jest szkodliwe i wyrządza krzywdę rdzennym interesom narodu polskiego. P. Świętochowski raczy uprzytomnić sobie los ludzi, którzy u nas chcieli iść takiemi drogami — gdzie oni są i co się zostało z ich pracy? Austrjackość nasza nie jest, ani politycznym przypadkiem, ani symptomatem przelotnym — wynikła ona z ducha i tendencji obecnego rządu austryjackiego, a ten duch i tendencja przyciągnęły do siebie serca i rozum polaków niczem innem, tylko uznaniem historycznych praw narodu polskiego, sprawiedliwością polityczną i pieczołowitem stróżowaniem monarchy austryjackiego nad tem, aby pod względem narodowym w obec różnych zakusów partyjnych, krzywda się nam polakom nie działa. P. Świętochowski, choć jest doktorem filozofji lipskiego uniwersytetu, a może właśnie i dlatego, nie rozumie innej władzy, tylko w baraniej czapie ze szlifami jeneralskiemi i z gromadą unahajonych czerkiesów, która z takim grzmotem rozbija się po ulicach Warszawy — u nas tego wszystkiego nie ma i monarcha austryjacki, może w dzień i w nocy, sam jeden chodzić po krętych ulicach miastach i szerokich polach wsi polskich i rusinskich, a oprócz podniesionej polskiej ręki, błogosławiącej krzyżem świętym życiu, pracy i zamiarom zacnego cesarza, nic go więcej nie spotka... *Prawda* może w to nie wierzyć — i ani nam, ani nikomu na tem nie zależy, a tę gromadkę bałamuconych czytelników *Prawdy* prędzej, czy później nauczy życie, doświadczenie, oczy i uszy własne, gdzie są **i s t o t n e   p r a w d y**, na których się interesa polityczne polskie dziś opierają i nie tak długo, przyjdzie czekać na to, że takie *Prawdy* p. Świętochowskiego uciekać będą przed polską austryjackością, nie tam, gdzie pieprz rośnie, ale nad Newę w objęcia szerokiej natury słowiańskiej, gdzie spoczną... w jej żołądku.

Z kwiatka na kwiatek...

= Kronika żałobna.

W Olejowie zmarł ś. p. Kazimierz hr. Wodzicki przeżywszy lat 74. Zmarły jako przyrodnik zajmował poważne stanowisko naukowe, a jego *zapiski ornitologiczne*, są w swoim rodzaju znakomitą pracą. Zwyczaje, obyczaje i naturę zwierząt domowych i dzikich podpatrywał autor — i w sposób niezmiernie interesujący, ślicznym językiem opisywał. Jako pisarz, pomimo popularności stylu, odznaczał się ś. p. Kazimierz głębością myśli i bystrą obserwacją. — Przyrodę kochał i śledził ją cierpliwie. Do ziemi ojczystej był przywiązany całą duszą — dla niej też szczerze, sumiennie i pożytecznie pracował. Piastował przed tem godność poselską do Rady państwa i do Sejmu krajowego — ale sam poskładał mandaty, bo do życia publicznego nie lgnął, był nad wyraz skromny i, jak mawiał woli pracować od dołu...

Cześć pamięci uczonego i zacnego polskiego obywatela !...

Zmarł w Krakowie ś. p. Józef Kasprowicz po dokonanej na tamtejszej klinice ciężkiej operacji wycięcia raka na kiszce.

Zmarły był zdolnym i pożytecznym artystą sceny lwowskiej. Ze szczerym żalem kreślimy te kilka słów wspomnienia pośmiertnego dla tak wcześnie zmarłego artysty, który zaledwie dobiegł trzydziestego piątego roku życia. Kto miał sposobność poznać go bliżej, ten się przekonał, że pod szorstką i nieraz burzliwą powłoką, mieszkała dusza szlachetna, współczująca i kochająca wszystko, co piękne i dobre... Zmarły namiętnie był przywiązany do ziemi krakowskiej, gdzie się rodził — w niej też spoczął na wieki... Ś. p. Józef Kasprowicz w ostatnim czasie próbował też sił swoich piórem. Dwa jego obrazki z życia aktorskiego podpisane pseudonimem J. Krakowiaka umieściliśmy przed kilku miesiącami w „Iskrze". — Osierocił on sędziwych rodziców, braci, siostrę i żonę najzacniejszą kobietę, która jest ozdobą lwowskiego teatru. Cios to dla jej serca straszny, — zabliźnić go tylko może czas, a dziś złagodzić nieco, ten niepodzielny szacunek i współczucie bliższych i dalszych dla wzorowej żony, których powodów, nietylko należy szukać w niezwykłym talencie artystki, ale w tych pięknych przymiotach osobistego charakteru, zdobiących jej szlachetną duszę...

Społeczeństwo polskie, szczególniej też poznańskie, poniosło dotkliwą stratę przez śmierć ś. p. Jana Rymarkiewicza, który był wzorem cnót obywatelskich, wytrwałości i pracy. Specjalnością zmarłego była nauka zastosowana do życia praktycznego — pod tym też względem zdziałał wiele w tak ciężkich stosunkach dla życia polskiego, jakie panują pod pikelhaubą pruską...

= Pożyteczne i przyjemne z bolącem...

Jako curiosum należy powtórzyć ogłoszenie jednego z mniejszych dyrektorów teatrów niemieckich, który był dentystą, zanim się zaprzągł w rydwan muz. Oto, ów dentysta dyrektor zaprasza gości do swojego teatru w sposób następujący: Kto kupuje bilet do piewszych miejsc, ma prawo do bezpłatnej konsultacji dentystycznej, która będzie się odbywać w rannych godzinach. Za małą dopłatą, mogę się także podjąć rwania zębów.

= Oryginalna owacja spotkała Wiktoryna Sardou za jego ostatnią komedję „Belle-maman". Odebrał on przeszło sto listów z podziękowaniem od różnych świekr za dodatni rysunek teściowej. Wiadomo, że świekry są w Paryżu postrachem wszystkich młodych małżeństw, a źródłem niewyczerpanem scen humorystycznych dla autorów scenicznych. Sardou odbiegł od tradycji. Ztąd owacja!

= Żart z języka.

„Figaro" podaje następujący żarcik gramatyczny:

„*Si scies scient six cigaretes, six cent six scies scient six cent six cigares*".

Znaczy to dosłownie: „Jeżeli sześć pił piłuje sześć cygar, to sześćset sześć pił piłuje sześćset sześć cygar. Żart polega na analogicznym brzmieniu trzynastu zgłosek w tym frazesie.

Złowroga piękność.

Przekład z angielskiego **E. H.**

przez autorkę „Miłość jego życia“.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 47 „Gońca“).

— Miss Carolan, jesteś pani zbyt okrutną!

— Jestem okrutną, lecz w dobrym celu, odpowiedziała. — Pragnę nauczyć niektórych z panów, jeśli mi się tylko uda, że kobieta nie potrzebuje, aby jej co pięć minut powtarzano, że jest piękną, czarującą i tak dalej. Jeśli jest ładną, dowie się o tem od swego zwierciadła, a jeśli nie, podszepnie jej to próżność. Czy nie chciałbyś pan spróbować skorzystać z tej nauki?

— Gotów jestem uczyć się wszystkiego, co mi pani łaskawie wykładać zechce.

— Uległy z pana uczeń. W końcu sezonu możesz pan zasłużyć sobie na medal, za dobre sprawowanie. Lady Morvyn, — rzekła, zwracając się do swej towarzyszki, czy ten obraz Whistlera, o którym pani mi wspominała, znajduje się w pobliżu?

— Nie, moja droga; lecz chciałam ci przedstawić Lady Mansfield. Widziałam ją tu przed chwilą. Ach, otóż jest!

Z uprzejmym uśmiechem zbliżała się piękna, w średnim wieku dama, a za nią szła śliczna młoda panna, lat około dwudziestu mająca, która ze szczerem uwielbieniem przypatrywała się powabnej Vidzie Carolan.

— Pozwolisz mi... — rzekła lady Morvyn, i przedstawienie odbyło się podług zwyczaju.

Beatrixa Mansfield widocznie była zadowoloną z poznania nowej gwiazdy, o której mówili wszyscy i którą znalazła „bez zarzutu“.

— Może pani będzie tak grzeczną, — odezwała się do Vidy lady Mansfield, skoro zwróciły się ku wyjściu, — jeśli inne zaproszenie mojego nie uprzedziło, znajdować się u mnie na pikniku we czwartek?

— Z prawdziwą przyjemnością służyć pani będę, lady Mansfield.

— Dziękuję pani serdecznie; proszę cię, lady Morvyn, przybądź nie późno, bardzo pragnę mieć obie panie jak najwcześniej.

— Stawimy się na czas. Vido, moja droga, spojrzyj w tę stronę. Powiedz mi, co myślisz o tym obrazie? Chciałabym wiedzieć twoje zdanie.

Było to malowidło przedstawiające dwóch graczy, którzy, wnosząc z tego, że innych gości nie było, zdawali się dalej prowadzić grę swoją, nie zważając na bardzo spóźnioną godzinę. Inni odwiedzający ten widocznie prywatny salon gry, już się rozeszli, a ci dwaj, jeden prawdopodobnie gość, a gospodarz drugi, grali wciąż i z namiętnością na obu twarzach wyrytą, trzymali karty drżącemi ze wzruszenia rękami. Wyraz ich uczuć był oddany po mistrzowsku, co się rzadko widzieć zdarza w galerji Grosvenoru.

Vidę zdawało się to malowidło niezmiernie interesować. Wstrzymała prawie oddech, przyglądając mu się i na chwilę, na jedno krótkie okamgnienie, w dużych ciemnych oczach przemknął niemiły, groźny błysk; lecz nie było go już ani śladu, gdy się odezwała z lekkim uśmiechem:

— Ciekawam kto też wygra? Piękny to obraz.

— Nieprawdaż? Bardzo się cieszę, — dodała lady Morvyn, — że cię lady Mansfield zaprosiła na czwartek. Jej wieczorki w ogrodzie są bardzo przyjemne, a przytem oczekuje ona pewnej osoby, która ci się niezawodnie podoba.

— Kogóż to?

— Musiałaś już napewno słyszeć nazwisko Dave Devereux'go z King's-Royalu.

Ciemne oczy Vidy spuszczone były ku ziemi, a długie podwinięte rzęsy nadawały im wyraz na pół obojętny i nieco rozmarzony. Zdawało się, że w nich żadna nie zaszła zmiana; ta naturalna zasłona okryła płomień, jaki się w nich zapalił; głos jej słodki i dźwięczny miał toż samo brzmienie, gdy odrzekła stanowczo: — Nie zdaje mi się, abym kiedy o nim słyszała.

Lecz gdy z powrotem przechodzili koło obrazu przedstawiającego dwóch graczy, rzuciła nań spojrzenie przez ramię i uśmiechnęła się, a z ruchu jej ust wnosić było można, że powtarzała poprzednie pytanie:

— Ciekawam, kto też wygra?

ROZDZIAŁ IV.

Okrutne zadanie.

W bardzo przyzwoitym domu przy ulicy Hertford, w pięknie przybranym pokoju stała Vida Carolan, wsparta o krzesło, które posuwała w tył i naprzód, rozmawiając z jedyną jeszcze osobą, znajdującą się tam także, — była to kobieta, mająca na pozór lat pięćdziesiąt, dotąd jeszcze piękna, silnie zbudowana, lecz nie otyła.

Vida ubraną była na piknik do lady Mansfield, miała już tylko włożyć kapelusz i rękawiczki, przygotowane na stole. W blado kremowej sukni z ponsowem ubraniem, równie jej było ślicznie, jak w czarnym aksamicie.

Dziwna zachodziła sprzeczność pomiędzy obu temi kobietami, pracującemi w jednakim celu, — jedna przybliżała się ku starości, po źle spędzonem życiu, — druga: czarujący kwiatek, natura namiętna, bogata w zarody dobrego i złego, które czas i okoliczności rozwinąć dopiero miały; była to istota, która gdyby nawet chciała, nie mogła zostać po prostu nic nie znaczącem, pustem stworzeniem; lecz potrzebowała dobrego kierunku, aby walczyć przeciw złemu, gdyż podobnego rodzaju kobiety łatwo popadają w błędy — narażone są na tysiące pokus, których inne nie doznają wcale. Na nieszczęście, Vida nigdy dobrego nie znała kierunku. Niepodobna było nazwać wychowaniem życia, jakie wiodła młoda, piękna cyganeczka.

Twarz kobiety, znajdującej się w pokoju Vidy, nie jest nam obcą; widzieliśmy ją poprzednio w parku Monceau, ale te czternaście lat, które przeszły nad głową Estery Ransome, były dla niej latami trosk — przeżyła je jak awanturnica; dziś w rozkoszy i przepychu, jedząc bażanty i popijając Château Margot; jutro wyrzucana z mieszkania, ponieważ nie była w stanie zapłacić pięciu franków komornego na tydzień; a „zbytek, namiętności i troski“ zrobiły swoje, zostawiając straszniejsze i wyraźniejsze, niż wiek na jej obliczu ślady.

Pomimo to jednak, mało jeszcze było siwizny w jej bujnych włosach, a regularne rysy twarzy zachowały dawniejsze kształty; lecz baczny fizjognomista znający ją dawniej, zobaczywszy ją dziś na nowo, byłby powiedział, że usta jej niegdyś surowe, były przytem namiętne, co w ogóle nadawało inny wyraz całej jej twarzy — kobiety raczej zmysłowo rozwiniętej, niż gwałtownej; dziś widocznie surowość i zawziętość przeważała, nie zostało prawie śladów zmysłowości.

Co wpłynęło na tę zmianę? Nie lata, lecz jakaś przeważna namiętność, która zapanowała nad wszystkiemi innemi, jeśli ich ostatecznie pokonać nie zdołała.

Strój tej kobiety zdawał się być przebraniem, ponieważ nieodpowiadał stanowisku osoby z wyższego towarzystwa, jakie na pozór zajmowała. Czarny kapelusz, leżący na krześle, stary był i niemodny, pokryty gęstą zasłoną; suknia czarna, zrudziała, a wierzchnie okrycie, zdjęte również w tej chwili, był to więcej niż skromny płaszczyk od deszczu. Na pozór wyglądała na jedną z tych osób, które znały lepsze czasy, na dawną guwernantkę, lub pozostającą bez miejsca zarządzającą domem, żyjącą częściowo, albo zupełnie z łaski jakiej bogatej damy, która ją znała dawniej, lub też wspiera ją ze względu na osoby, u których poprzednio pełniła obowiązki.

Nie po pieniądze jednak, ani nie po wsparcie jakiegobądź rodzaju Estera Ransome przychodziła do Vidy Carolan. Ona to darzyła, a nie odbierała datki.

— I tak, — rzekła, wsuwając się w głąb fotelu na którym siedziała i przypatrując się więcej niż z zadowoleniem dumy — z tryumfem, prześlicznej postaci przed nią stojącej, — jedziesz na piknik do lady Mansfield. Czy wiesz kogo tam spotkasz?

— Wielu z moich znajomych, — odrzekła Vida. — Spodziewam się, że mi przybędzie kilku nowych. Mówiono mi...

Nie dokończyła i odwróciła trochę na bok piękną główkę.

— Co ci mówiono? — spytała pani Ransome z większem zajęciem.

— Że Dave Devereux tam będzie, — rzekła młoda dziewczyna przyciszonym głosem, i blade jej policzki okryły się rumieńcem.

Pani Ransome odetchnęła piersią całą i chwyciła gwałtownie za poręcz fotelu; lecz przenikliwe jej wejrzenie śledziło bacznie wyraz twarzy Vidy.

— I cóż, — rzekła surowo, po chwili milczenia, — cofasz się?

Dziewczyna podniosła głowę, a w jej ciemnych oczach przemknął błysk złowrogi.

— Ja się cofam? nie! zawołała, zaciskając zęby; — a jednak... jednak — przycisnęła serce drobną, białą ręką — z pewnego względu tak, powinnabym może... nie myśl, że pragnę usunąć się od tego; ale to straszliwe zadanie; tylko twoje okrutne krzywdy skłonić mnie do tego mogą.

— No. — rzekła Estera Ransome, — pamiętaj, jeślibyś kiedy wahać się miała, dla tego, że twoja skromność i godność kobieca wzdryga się na myśl o tem, że się masz dobijać o pozyskanie miłości mężczyzny, — pamiętaj com wycierpiała z łaski Dave Devereux'go i co dotąd znosić muszę; bo dotąd jeszcze nie nasycił swej zemsty. I za co ścigał mnie jak psa po wszystkich miastach Europy? Za to, że jego przyjaciel w moim domu przegrał swój majątek, a gdy stracił wszystko, jak tchórz odebrał sobie życie! Czyż obowiązkiem moim było pełnić rolę anioła stróża Percivala Claremonta? Spotkało go to, co tysiące ludzi przed nim i tyluż po nim spotyka na świecie; a ja — zkądże miałam być lepszą od tych, którzy mnie taką zrobili jaką jestem? Mąż mój był awanturnikiem; żył tak samo, jak ja po jego śmierci; nie zostawił mi żadnego sposobu do życia, prócz przemysłu jakim się

trudnił. Czyż byłam gorszą od innych? Czy nią dziś jestem? Czemże był Percival Claremont, żebym miała zamykać mu drzwi mego mieszkania ze względów moralnych? Czyby go to ocaliło, choćbym nawet tak postąpiła? Czyż świat nie stał przed nim otworem? a skoro nim raz owładnęła namiętność do gry, byłby grał do końca, chociażbym się go powstrzymać starała, ażby przegrał wszystko. Tymczasem mnie to wyrzucają jak zbrodnię, żem go popchnęła do ruiny, jakby był chłopcem bezmyślnym; ja go miałam o śmierć przyprawić; i za to przez ciąg lat czternastu Dave Davereux ścigał mnie i prześladował po całym świecie; za to muszę się tu ukrywać teraz. Gdyby wiedział, gdzie znalazłam schronienie, wypędziłby mnie pewnie, ścigałby mnie, ażbym zmuszoną była żebrać na ulicy, lub nędzne życie zakończyć w taki sposób jak Parcival Claremont.

Mówiła nie głośno, lecz ze wzrastającem uniesieniem w głosie i wyrazem twarzy przerażającym. Gdy się zatrzymała, Vida słuchająca ją dotąd w milczeniu, z zaciśniętemi ustami, rzekła półgłosem:

— Teraz on będzie cierpiał z kolei... a straszne to będzie cierpienie; bo to człowiek dumny ze swego szlachetnego rodu, przytem jest ulubieńcem wielkiego świata, wzorem modnej młodzieży, najpyszniejszym kwiatem towarzystwa, — a ja jestem bez nazwiska; nic się nie dowie o mojem pochodzeniu i rodzinie; zmuszę go, że zapomni spytac o mój rodowód... zapomni o swej dumie... będzie leżał u nóg moich — wtedy mu powiem, kto jest ta, dla której się wyrzekł wszelkich tradycyj swego rodu, tak wielką w jego oczach mających cenę.

Rozśmiała się, odpychając gwałtownie krzesło, na którem była wsparta i zaczęła szybko chodzić po pokoju; lecz w jej śmiechu tyle było bólu co i tryumfu; w tej zepsutej i zagadkowej naturze szlachetniejsze uczucia toczyły ciągłą ze złem walkę; serce kobiece wzdrygało się przed nieludzką zemstą, jaką mu narzucono. Ze wzrastającą namiętnością mówiła dalej:

— Dobrze mówisz, czem jesteś gorszą od innych? Czemuż utrzymujący domy gry winniejsi być mają od tych, którzy na karty rzucają swoje złoto? Przeciwnie, pierwszym służy to teraz jako sposób do życia, w drugich jest fantazją lub występkiem. Czyż ci, którzy na innych ciskają kamieniem, prowadzą sami życie bez skazy? Awanturnicy! Czemże tedy są te panny wielkoświatowe, które zachowują jedynie pozory i chcą uchodzić za niepokalanie cnotliwe? Według mego przekonania ta jest awanturnicą, która, chociaż „córka stu hrabiów“, uważa towarzystwo za małżeński rynek i żyje tylko myślą skierowaną jedynie do tego, aby świetnie wyjść za mąż, a nie troszczy się bynajmniej, jakie życie ten mąż prowadził dotąd, jakie są jego przymioty i zasady, lecz dba jedynie o to, aby miał majątek i mógł jej dać świetne utrzymanie. Prawdę mówiąc, nazwa stanowi wszystko. Rozbierzmy w myśli rozmaite okoliczności życia, a przekonamy się wtedy, że wszscy odwracamy się ze wstrętem od tego, co robimy sami pod inną postacią i przy innych, odrębnych warunkach.

— Prawdę mówisz, Vido, prawdę zupełną, — odpowiedziała pani Ransome, — lecz nie posuwaj swej teorji zadaleko; są ludzie szlachetni i dobrzy, chociaż mnie się zdarzało widzieć najczęściej złe strony ludzkiej natury; na nieszczęście i ciebie życie nie mogło nauczyć wiary w ludzi.

Vida skrzyżowała ręce na piersi i oddychając z trudnością, rzekła:

— Chciałabym mieć taką wiarę. Za młodą jestem na tyle cynizmu i goryczy; lecz mało widziałam pocieszającego dokoła, a świat nie wydaje mi się tak słonecznym i idealnym, jak mówią, że bywa dla innych w latach ośmnastu.

Dziwne spojrzenie, niby jakiś przebłysk światła z dawnych lat niewinnej może młodości, przemknął po twarzy Estery Ransome. Pod wpływem dobrego wrażenia wyciągnęła rękę.

— Vido! — zawołała.

Młoda dziewczyna zbliżyła się i uklękła przed nią.

— Matko! — szepnęła, przyciskając drżące usta do rąk, które tuliły jej dłonie.

Kobieta milczała chwilę, wpatrując się w błyszczące oczy dziewczęcia, potem rzekła z cicha:

— Czy ci to nigdy nie przychodziło na myśl, Vido, że to zadanie jakie masz do spełnienia, grozi ci niebezpieczeństwem?

— Niebezpieczeństwem! chcesz powiedzieć, że mogę zapomnieć krzywd wyrządzonych ci przez Devereux'go?

— Tak!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika z tamtego świata.

Lista posłów Galicji i Lodomerji z W. Ks. Krakowskiem i z niektóremi objaśnieniami, ułożona ku pamięci żyjących i potomnych.

Abrahamowicz Dawid, finansista cięty,
A w kwestjach podatkowych śmiały, nieugięty.
Antoniewicz Mikołaj, rusin nie na żarty
Podstępny, krotochwilny i srodze uparty.
Asnyk Adam, poeta, poseł po raz pierwszy —
Choć się mistrzem okazał w pisywaniu wierszy

W salonie.



— Nie umiem sobie objaśnić, dlaczego pani tak wesoła..
— Bo odchodzę — ale... bądź pan na przekór wesołym.
— Będę, bo zostaję..

W miejskim komisarjacie.



— Panie komisarzu, tak mnie mąż bił, tak bił, że ledwo się już duch we mnie kołacze...
— A on co — wściekł się, czy co!...
— E, nie wściekł się, bo wczoraj, właśnie, hycel przejeżdżał, kiedy mnie tłukł na ulicy, a nie złapał go...

Tak, jak było.



— Tu u nas bieda — trzeba jechać het za morze, do Ameryki! A u was w Rosji, jak tam teraz żydom?

— Tak, jak było — oni nabijają nam plecy, a my z nich nabijamy kieszenie!...

Na ulicy.



— Bój się pani Boga — ostrożnie, bo żona zobaczy!...

— Jaka żona?...

— Moja.

— Myślałam, że cudza — nie ma się czego obawiać...

Wątpliwem, czy na mistrza w poselstwie
[wyrośnie
I nie skończy karjery w swej poselskiej
[wiośnie...

Badeni, hrabia Kaźmierz, mąż bez deklamacji,
Programów nie rozumie bez czynów, bez racji,
Praca, rozum, patrjotyzm jego przyjaciele —
Krótko jest namiestnikiem, a już zrobił wiele.
Badeni, także hrabia, a Stanisław miano —
W sprawach szkolnych referat zawsze mu
[oddano —
I hrabia, co ma krocie — mógłby nic nie robić,
Jest zdania, że się pracą trza wszystkiego
[dobić...

Burański Karol, szlachcic, dobry starowina,
Barabasz, chłop zażarty — co to przypomina,
Że droga szczęśliwości trochę jest za śliska,
Gdy na niej same tylko lisy, pasowiska...
Bobrzyński Michał, doktor, historyk, profesor,
W sprawach wszelkich statysta, przeszłości
[konesor.

Biliński Leon, profesor i ekonomista,
Pobije przeciwników, choć ich będzie trzysta...
Borkowski hrabia, Mieczysław, z Mielnicy
Cichy pracownik w sejmowej winnicy.
Brykczyński prezes, poseł z Pacykowa,
Bobczyński wybran z okolic Dynowa,
Zaś *Chamiec* Jaksa, jak wiewiórka sprytny,
Chrzanowski Leon, dziki, a ambitny,
Czajkowski Alfons, rozumny, serdeczny —
I *Czartoryski*, popularny, grzeczny —
W sprawach publicznych niczem się nie wiąże,
Wprzód jest polakiem, a potem zaś książe...
Czyżewicz doktor, akuszer nie lada —
Dembowski Zygmunt, który nic nie gada —
Jednak w komisjach pracownik wytrwały,
Z czego pożytek dla Sejmu nie mały.
Dworski, pan burmistrz z Przemysława grodu
W służbie publicznej pracuje od młodu,
A zaś *Dydyński*, jest znak zapytania,
Choć do prawicy głowę swoją skłania.
I *Dzieduszycki* Wojciech, literat głęboki
Zawsze robi krok naprzód, a zaś w tył —
[dwa kroki,

I Klemens *Dzieduszycki* kunktator — statysta,
Trochę cierpki — i trochę zawsze pessymista.
Ksiądz Albin *Dunajewski*, cny biskup z Krakowa
I Juljan *Dunajewski*, podskarbi narodu —
Potężna, twarda i otwarta głowa,
Co się zahartowała w nauce od młodu.
Fruchtman, to znaczy człowiek, co owoce rodzi,
Więc w pracach komisyjnych, *Fruchtman* nie
[zawodzi.

Gniewosz, skupu propinacji wróg nieugięty,
Gnoiński Jan, no i *Gnoiński* Wincenty.
Gorayski August, wielki nafty specjalista,
Goldman Bernard, bankowiec, więc pozytywista,
I *Golejewski* hrabia, poseł kąsający,
I Piotr *Gros* tak sobie demokratyzujący...
Huryk, *Hamorak* — włościanie — z *Hera-*
[*simowiczem*
Mówią o wielu rzeczach, a także o niczem...
Bronisław *Horodyski*, Kornel *Horodyski*
Jeden bliski prawicy, i drugi jej bliski.
Franciszek *Hoszard*, lekarz nie zawsze leczący,
I Otton *Hausner*, opozycjonujący...
Issakowicz, arcybiskup, kaznodzieja sławny,
Jaworski Apolinary, vice-prezes dawny
„Polskiego Koła“ — dziś prezes dwóch „Kół“,
Jest podwójnym prezesem, lub prezesa pół...
Zaś potem *Jędrzejowiczów* sunie znak pancerny,
Posuwisty, z fantazją szlachecką, chimerny —
Na znak gotowi zawsze z szablą na pohańca —
Karmazyny prawdziwe — do tańca, różańca...
Kapri Jan, baron, poseł narowisty,
Krewki, lubi powietrze — w przekonaniach
[czysty.

Klemensiewicz, notarjusz, gdzieś tam od Gry-
[bowa,
Co rozum nie pod korzec, lecz pod pulpit chowa.
Znowu czterech rusinów bez kitu ruskiego:
Korol i *Kułaczkowski*, są z klubu jednego.
A *Kowalski* ksiądz zacny, przyjaciel polaków,
Chce dobra dla rusinów, lecz nie hajdamaków;
Zaś *Krynicki* dygnitarz z sądu Tarnopola,
Nie patrzy, ni na dwory, ni na wiejskie pola —
Może być i rusinem, i polaków bratem —
Lecz przedewszystkiem, jest zawsze hofratem...
Korczyński, rektor krakowskiej wszechnicy,
I włościanin *Kramarczyk*, mazur cięty, śmiały
Dwóch *Kozłowskich*, ponurych, z jednakiej
[ziemicy
Także dwóch *Koziebrodzkich*, hrabiowie, zie-
[mianie —
Pierwszy pisze komedje — drugi patrzy na nie...
Langie Tadeusz, dyrektor w Skarbka fundacji
Lasocki Czesław, hrabia, bez najmniejszej racji
Napadany za karczmę od onej demokracji,
Która, siedzi po miastach, pisze przy kominku,
Nie zna życia chłopskiego — sama siedzi
[w szynku...

Lenartowicz, notarjusz z Kołomyi miasta —
I *Łobos*, ksiądz z biskupiej Tarnowa stolicy
Łączyński poseł jeszcze nieznanego ciasta —
I *Madeyski* profesor krakowskiej wszechnicy.
A potem zaś zdążają poważnymi kroki:
Merunowicz, w żydowskich sprawach bystrooki,
Mazarski, człek zacny, gospodarz wzorowy,
Marchwicki Zdzisław, poseł całkiem jeszcze
[nowy,

Micewski także nowy z Jarosławskiej ziemi,
Stanął śmiało do pracy tuż pomiędzy niemi —
I *Michałowski* z Żywca, *Michalski* ze Lwowa
Męciński Józef, jasna i otwarta głowa —
I *Midowicz* notarjusz, prawnik zdolny, z Brzo-
[stka,
Mandyczewski, ksiądz, Kornel, twarda ruska
[kostka,
A także ksiądz *Morawski*, arcybiskup lwowski,
I nowy zupełnie poseł: pan *Niezabitowski*;
Także poseł *Niedzielski*, z Wieliczki go wzięli,
Zdaje się będzie poseł tylko od niedzieli...
I *Ochrymowicz* rusin, *Okuniewski* także
Olpiński lekarz zdolny, człek zacny, a jakże...
Dwóch *Potockich*, dwóch hrabiów: z Krzeszo-
[wic z Łańcuta,
A zaś dalej *Potoczek* z pod Sącza się toczy —
I *Palch* w tej, właśnie, sesji zwerbowan w re-
[kruta.
Biskup *Pełesz*, powagą bije wszystkich w oczy —
I *Pietruski*, zastępca marszałka w Wydziale,
Doktor *Pilat* profesor bez żadnego ale —
Polanowski szlachetny, choć czasem zgryźliwy
I *Puzyna* z Narola, kniaź ruski, prawdziwy...
Raczyński poseł nowy, wielce wykształcony,
Rosenstock poseł z Brodów, choć sam ze Skałata,
Nie z roli, ani z soli ten poseł zrodzony,
Ani z tego, co boli — lecz tylko z chałata —
Dziedzic dóbr, w Poniatowskich siedzi teraz
[gnieździe,
Gdzie ojciec był na karczmie — miał „kuczki“
[w zajeździe...
Rapoport, finansista od czuba do pięty,
Romer Gustaw, człek dobry, choć nieco nadęty,
I drugi *Romer*, poseł dopiero obrany,
Romańczuk, rusin wiecznie rozirytowany..
Rayski Albin, z pod Rudek, spokojny, stateczny,
Romanowicz Tadeusz, poseł niebezpieczny,
Ma gębę, jak to mówią, od ucha do ucha,
Choć go większość nie lubi, ale, jednak słucha...
Rey Mieczysław — nie nowy, twarda, mówią,
[głowa —
I *Rogoyski* pan burmistrz, kochany, z Tarnowa.
Rozwadowski Stanisław, szlachcic z krwi i kości.
Weredyk, choć w nim nie ma nijakiej zazdrości...
Rutowski, u czerwonych jest zawsze w nie-
[łasce,
Bo, gdy szedł z nimi razem, to szedł, mówią,
[w masce...
Rożankowski i *Sawczuk*, *Sirko* i *Siczyński* —
Rusini bez pardonu — potem poseł *Skrzyński*,
Co pobił Biechońskiego w Gorlicach, na głowę,
I *Skałkowski* adwokat — ma ładną wymowę,
I *Schnell* trwożliwy, zawsze, jakby zalękniony,
Że dostał się wśród posłów — *Stręk*, chłop
[wystraszony;
Struszkiewicz, dwóch *Stadnickich*, *Słonecki*
[z Sanoka,
Ksiądz *Sawa*, bystrej głowy i bystrego oka,
Szeliski nowy, rączy i *Szeptycki* dawny
Pierwszy dzielny gospodarz, drugi z tegoż
[sławny.
Smolka prezydent Rady, powaga ogromna;
Sarnicki, to ksiądz rektor, fizjonomja skromna,

A jednak wielé rzeczy mógłby nam powiedzieć
Książe Adam *Sapieha*, *Strzygowski* — nie [wiedzieć
Jeszcze, jakie zajmie w Sejmie stanowisko,
Bo ze Lwowa do Biały nie tak to jest blisko...
Książe *Sanguszko*, *Scipio* i *Siemiginowski*
Trzech biskupów: *Sembratowicz*, *Solecki*, *Stu-[pnicki*.
Sławny autor „Nędzy“ — dzielny *Szczepa-[nowski*
Trzech *Tarnowskich*, co przed nimi kraj [uchyla czoło
Dwóch *Torosiewiczów*, *Tyszkiewicz*, *Tyszkowski*
Trzeciewski znak pytania, no i *Teliszewski*,
Który również niewiedzieć z jakiej będzie mąki:
Czy dzielną siłą, czy też będzie strzelał bąki..
Weigel, *Wiktor*, *Wereszczyński*, Antoni *Wo-[dzicki*.
Wodzicki hrabia Ludwik, choć się z nim nie [godzą
Za nim, po jego drogach uczą się i chodzą..
Dwóch *Wolańskich*, wytrawnych, obydwa z Po-[dola —
I nowy poseł *Vivien* — gdzieś od Tarnopola
Zaś z Krakowa mamy w sejmie profesora *Zolla*
Dwóch ministrów, choć jeden już poza służbowy:
Zaleski, *Ziemiałkowski*, a *Zbyszewski* nowy
Pan burmistrz i adwokat z pięknego Rzeszowa —
Wreszcie hrabia *Zamojski*, *Zagórski*, jak z igły,
Zardecki gdzieś z Łańcuta, w pracy nieprze-[ścigły —
A nakoniec *Żywicki* — i lista gotowa.

Nieboszczyk Lam.

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 47 „Gońca“).

Submitowała się nieboraczka, że tego von Kramsta nie zna, submitowała się z płaczem, aż mi się serce ścisnęło, alem jej wykłół oczy tym Leonidasikiem — i sza! dość, że teraz, choćby ją piekli na ruszcie nie piśnie słówka; chodzi jej przecie o opinię, a trochę i o męża, chociaż ma go ona za hetkę pętelkę.

Ale też chamy niezgorzej zdezelowały tego von Kramsta, niech ich kur dziobnie! Z pozwoleniem pani, plecy, boki, to siniec przy sińcu; ręce i nogi sheblowane od rzemienia; wszystko to jednak bagatela, jeno dziobnięcie w szyję już kaduczniejsze; lecz i z tego wyliże się on wkrótce. Zatkałem mu ranę chlebem z pajęczyną, obmył się — i zaraz był chwat, choćby stanąć do mazura. Zaraz też wpadłem na przypuszczenie, że on nie żaden migdalik, ale chłopiec, co się zowie — i nie omyliłem się w przypuszczeniu, jak sama pani zobaczy.

Jagusia sprała farbę z bielizny, zszyła trochę odzienie, a w pół godziny mój von Kramst miał już pokrytą dezelację swoją... Ale! spostrzegłem na nim chusteczkę ze znakiem pani, jak również poznałem i fartuszek, — i to, i to pokrwawione było; chcę tedy owe rzeczy dać do prania Jagusi... i niech sobie pani wystawi! — rozstąp się ziemia, jak kamień w wodę! Myślę sobie: Jagusia ułakomiła się na gałganki... nuż tedy do niej! Przetrząsnąłem nawet jej łachy w dwóch skrzyniach, nie ma! Ona się klnie w pień, że nie widziała. Okropnie się tem zgryzłem, bo nie można przecie rzeczy pani zostawić w byle jakich rękach. Przychodzi mi wreszcie do głowy, czy to czasami nie von Kramst?... Pamiętam, za lat młodych, byłem bardzo biegły w romansowych arkanach: od tej capnęło się kokardę, od drugiej kwiatek, a nieraz i chusteczka wpadła mi do rąk; to wszystko stanowiło dla mnie pamiątki, które Herod Basia spaliła zaraz po ślubie. Padło więc moje podejrzenie na romansowość von Kramsta, ale cóż, trudno go było przetrząsać, a sam się do grabieży nie przyznał. Pozostają tedy dwie alternatywy: albo von Kramst z romansowości świsnął te gałganki, albo w pośpiechu, rzucono je w ogień, który rozbuzowaliśmy na kominie. Co pani myśli, panno Jadwigo? sztuka to romansowa, czyli też przypadek?

Jadwiga, jakby stała na rozżarzonych węglach; domniemanie pana Franciszka o romansowości von Kramsta popędziło jej krew do twarzy. Ale Dąbrowski nie zauważył jej rumieńca i ciągnął dalej.

— Chciałem go wreszcie pożegnać, zwłaszcza, że mi szło o Basię, jak chybię na obiad; radzę tedy jegomości, aby sam wracał do pałacu, — a on mi na to, że jeszcze musi iść na polowanie, na upatrzoną w legowisku parę wilków, ze szczeniętami. Myślę sobie: fanfaronik! gadaj mi smalone duby o polowaniu... pójdziesz ty do łóżka, na wydobrzenie swej dezelacji!... Niedawno mdlałeś, jak kurczę, a teraz tumanisz wilczętami od samców. Bo to, panno Jadwigo, zgoła nie przelewki wilk w gnieździe przy szczeniętach! — szczególniej wilczyca majster, gdy się rozjuszy przy obronie swego drobiazgu.

— Chodź pan ze mną! mówi panicz — trzeba iść, bo jakże upozorować pokaleczenie moje?

Racja, — poszedłem, — a wiedziałem już o wszystkiem od niego.

— Hej, panno Jadwigo, ten von Kramst, to anioł!... — Panno Jadwigo, łzy mam w oczach, gdy wspomnę, co on za jeden, bo mi go żal, że on podobno niemcem jest... Ha, niegodziwe chamy!... oddałbym zaraz to plugastwo do więzienia, że się porwali na takiego!... Panno Jadwigo, pewny jestem, że chłopstwo podeszło go zdradą, bo gdzieżby taki, dał się związać, jak baran? Trzeba było widzieć, jak on brał wilków!... on, zbity na zrazy, z wytoczoną krwią przez puszczadła chamskie.. on sam poszedł do legowiska.

— Stój tu pan pod tym dębem! — mówi, — a ja sam pogadam ze zwierzem.

Myślę: dasz ty wnet znak, żebym i ja należał do tej rozmowy.

A on zagwizdał, — warknęły bestje na odpowiedź, — samiec wyskoczył, zawył i uciął; nuż kłapać zębami, nuż kitą boki obija. Von Kramst przypuścił go do siebie na strzał, zmierzył, wypalił, ani mu drgnęła nadheblowana rzemieniem ręka, — i bestja ani zipnęła, już trup! Gorzej było z wilczycą, ta z ciekawości, co to się dzieje, wyskoczyła z kotliny, lecz zaraz cofnęła się do dzieci, a von Kramst szedł do niej w odwiedziny. Było na co patrzeć, panno Jadwigo! — zwierz nie czekając napaści, zjeżył kudły, rozdziawił paszczekę, hargotnął tylko — i obces na gościa. Von Kramst nie zmrużył oczu, odrzucił fuzję na plecy, że się mignęła, jak błyskawica, i w ręku już miał pistolet... Przyznam się pani, że z fuzją, to jeszcze jako tako, lecz z pistoletem?!.. wierutna lekkomyślność. Zwątpiłem o nim — i już się ruszam z moją pojedynką, gdy... pęc, pęc!... on palnął raz po raz... Panno Jadwigo, palnął jeden raz, za drugim... kula w kulę wpakował przez pysk do łba bestji... Kula w kulę!... uważa pani?... To mi gracz! to anioł w ludzkiem ciele! Niech kto w całej okolicy dokaże tej sztuki! Tak, dla popisu, do celu, może się znajdzie jeszcze, lecz w niebezpieczeństwie, w rzucaniu się zwierza... były to strzały pieścidełka. — O panno Jadwigo, te strzały: kula w kulę, postrzeliły mi duszę. Von Kramst zwalił wilczysków — i zwalił się sam do mego serca. Niechże się pani nie rozgniewa za to, co powiem! Jeśli to romansowość jego ukradła chusteczkę i fartuszek pani, trzeba mu one złodziejstwo wybaczyć.

A on śmiał się z tego co dokonał, gdy mnie na płacz się zbierało, że my zaniedbujemy praktykę myśliwską... Hodują konie wyścigowe, parobcy na nich upędzają się... Panie, odpuść grzechy! gdzie nasze lasy?... żydzi wycięli, — gdzie myślistwo nasze?...

— Panie Dąbrowski, — powiada mi von Kramst, oto, dwoje sierot z wilczego gniazda, jedno do ciebie, drugie do mnie należy, wychowajmy je przy domu, — komu się też lepiej uda przyswojenie tych wilczych natur, mnie, czy panu? spróbójmy!

I wetknął mi w ręce jedno wilczę.

— A teraz, dodał, musisz iść ze mną, do mnie, panie doktorze, bo mi doskwiera ta mucha na szyi.

Co było robić? poszedłem. Tak byłem rozrzewniony tem kula w kulę, z pistoletu, że szedłbym za nim, choćby mi Basia zastąpiła drogę.

Od czasu nieszczęścia naszego, nie postałem w wilczańskim pałacu... lat siedmnaście, panno Jadwigo! pani nie pomnisz przeszłości, bo wtedy byłaś maleńkiem dzieckiem, ale ja... ja tę przeszłość w piersiach noszę; uczułem, jak żywa ona we mnie, gdyśmy weszli na dziedziniec, bo mi się wzdęła jak bomba, piersiowa deska, tak przypomnienie dawnych dziedziców rozsadzać ją poczęło. To jeszcze nic, panno Jadwigo, ale gdy mnie on wprowadził do sali jadalnej, chociaż się hamowałem ze wszystkich sił moich, nie mogłem jednak wytrzymać — i kiedy zostaliśmy sami w pokoju, on i ja tylko, ryknąłem głośnym płaczem... bo tam, przy ścianie, na dawnem swem miejscu, stały dwa nasze gdańskie kredensy... Poznałem je, panno Jadwigo, poznałem te pamiątki po pradziadach twoich.

Nie pomnę, com mu też gadał w tym ucisku serca, na wytłumaczenie łez moich, ale to pamiętam, że on skoczył mi do szyi, całował mi twarz, ściskał ręce.

— Panie Dąbrowski, — mówił, — bądź przyjacielem moim! tyś człowiek...

Ba, i on też nielada człowiek, chociaż von Kramst! Kula w kulę z pistoletu nie dla sztuki, lecz w chwili grożącego niebezpieczeństwa!... Opatrzyłem mu też szyję, jakbym opatrzył rany jedynego dziecka swego. Panno Jadwigo, obejdzie się bez doktora! poleciłem mu kąpiel i wyleżenie się trochę w łóżku, nawet smarowania nie trzeba.

A on mi ciągle: — chłopów trzeba osłonić.

— Doprawdy, panno Jadwigo, on w tem podobny do pani.

Po tych słowach Dąbrowski się zamyślił.

— Ale co najgorsze z tej awantury — dodał — to to, że teraz nie będę mógł polować w wilczańskich lasach. Przyznam się dzisiaj pani, jak na świętej spowiedzi, że przetrzebiałem von Kramstom zwierzynę; była to złość przeciw nim, zemsta, piękne za nadobne. Nie wydałem się nigdy przed nikim z ta defraudacją, — *mea culpa!* zaparłem się jej nieraz przed panią, a wciąż dotąd w wilczańskich lasach pęc i pęc!

Wściekał się na to Siedlicki, robił na mnie obławę, groził procesem, wisielec, on swoje, a swoje. Trwało to lat kilkanaście — teraz basta! kraść nie umiem, panno Jadwigo, bądź co bądź, wilczańskie dobra są von Kramsta.

Oszust, łotr, Siedlicki, ale tu jedno z drugiem nie ma związku. Basia w swej spiżarni musi zaprowadzić oszczędność.

Po wzruszeniach, których doznała Jadwiga, przysłuchując się opowiadaniu pana Franciszka, to ostatnie jego zeznanie i poglądy na defraudację leśną rozśmieszyły ją. Panna Zapolska kilkakrotnie wpadała na domysł, że Dąbrowski ściągał zwierzynę do spiżarni żony, nietylko z lasku żerdzińskiego, lecz pewnie i zkądinąd, zwłaszcza sarny i dziki obudzały w niej podejrzenie, lecz pan Franciszek umiał rzecz tłomaczyć, a Basia w wiekuistej walce z mężem, zawierała z nim sojusz w tej sprawie i była mu dzielnym sprzymierzeńcem.

Po odejściu Dąbrowskiego, Jadwiga usiadła przy oknie i zadumała się. Śpiew makolągwy, dochodzący z ogrodu przyrzucał do myśli dziewczęcia jakąś rzewną, tęskną nutę. Zdawało jej się, że pozostaje sama z tą kwilącą makolągwą na bożym świecie. Matka, ojciec, zatuleni w świętej ziemi... ksiądz Mierzyński odszedł też od niej, do nich.

Jakże ją rozumiał w każdem drgnieniu jej serca ten ksiądz Mierzyński! „Bądź silną!“ — mówił jej sędziwy kapłan. Ona chce być silną, pragnie świat cały udźwignąć na swych ramionach, ale w tej chwili nawiedziła ja niemoc, która zapewno krótko potrwa, lecz w tem krótkiem trwaniu, ktoś jej z pomocą przyjść musi, ktoś rozumiejący ją, jak ksiądz Mierzyński.

— Kto? — zapytywała siebie.

— Staś, — odrzekło jej serce.

Ach, tak! Staś, brat jej, kuzyn, serdeczny jej przyjaciel od dzieciństwa, Staś Kruszewski, który w bohaterskiem przywiązaniu do niej, chętnie rzuciłby się w ogień. Czemu jej pierwej nie przyszedł Staś na myśl?... Była zarozumiałą, zdawało jej się, że podoła wszystkiemu sama, wierzyła w swe wpływy na ten lud ciemny, a wpływ ten rozwiał się na cztery wiatry, przy pierwszym lepszym podmuchu już nie złej woli nawet, lecz prostej nierozwagi. Praca jej poszła w niwecz, duch ciemności wziął górę. I oto, w chwili, gdy dziewczę potrzebuje trzeźwo rozejrzeć się w położeniu, potrzebuje silnym duchem odeprzeć najazd ducha ciemności od swej gromadki, ta makolągwa, śpiewająca za oknem, rozmarza ją... ta makolągwa, którą ma za jedyną swą towarzyszkę na Bożym świecie namaszcza jej siłę czemś, co z drową czerstwą, Jadwigę — chorą czyni.

Jadwiga poszukując wciąż dróg różnych w szlachetnych celach, zbliżyła się do ludu, zrosła się z nim, a znała na wylot tę grubą naturę ludową, w której materjalistyczny pierwiastek zawsze górował. Anegdotyczna kronika panny Zapolskiej w tych stosunkach z chłopami, obejmowała liczne pozytywizmu dowody, które tylko dla swej osobliwej prostoty, nie wzbudziły odrazy w dziewczęciu.

— A co tam słychać, Szymku? — zapytała raz parobka, który dzień temu prosił Nowaka o urlop, dla pożegnania się z umierającą matką — pewnie już lepiej matce, kiedyś tak zaraz powrócił.

— Ej, proszę jaśnie panienki, — odrzekł chłopak — matuli nic nie było, jeno mnie tak odrazu do cna zgryźć nie chcieli, to ci gadali, że matula umierają, a dokumentnie było tak, że mi roczna jałówka, com ją kupił na jarmarku, zdechła, nikiejby ją kto zuroczył.

Innym znów razem, w Wielki Piątek przywieziono do kościoła zmarłą kobietę. Kiedy pleban odprawiał modlitwę nad trumną, którą wnieść miano do dzwonnicy, zanim jutro pogrzeb nastąpi, organista usłyszał szelest jakiś pod wiekiem — i zwrócił na to uwagę proboszcza.

— Co to takiego? — zapytał kapłan zgromadzonej rodziny nieboszczki.

— A to, z przeproszeniem dobrodzieja, — objaśniał zięć zmarłej — matula jeszcze zipią, jeno już nie chcieli, ani jeść, ani gadać, nikiej nieboszczka; a jak ci ją wstawią do dzwonnicy, to pewnikiem nocą dojdą już na jutrzejszy pogrzeb.

Ksiądz osłupiał.

— Bo proszę jegomości, — tłomaczył chłop dalej — pojutrze *Wielganoc*, toć rozmiarkowaliśmy se z moją kobietą, że ciała na święta nijako trzymać w izbie.

Te i tym podobne fakta, świadczące o zupełnym braku poczuć duchowych w chłopie, przywodziły nieraz Jadwigę do rozpaczy; rozumiała ona, że na takiej glebie, posiew ideału społeczno-humanitarnego, nie może się udać, że lud ten, taki, jakim jest, brutalnie materjalistyczny, nie stanie się nigdy solą ziemi, wzorem obyczajów. Doświadczenie nabyte z czasem, przekonało ją, że dźwignią umysłowości tych młodszych braci, mogła się stać tylko wiara, chłop bowiem silnie jest przytwierdzony do wiary. Zrobiwszy to odkrycie, panna Zapolska oparła się na tym łączniku ludu z niebem; a teraz, mimo całej zwierzęcości, której zajrzała dzisiaj w oczy, uczuła rozkosz w tem zatryumfowaniu łez Matki Boskiej, nad dzikim popędem instynktu.

I zkądże się w niej nagle wzięła ta niemoc dziwna, którą w sobie uczuwa?... Zna tajemnicę nieomylności tej dźwigni, może ją stosować we wszystkich zdarzeniach, wierzy w kapłaństwo kobiety chrześciańskiej..

— O! naprzód, naprzód! zawołało w niej coś, głosem energji.

I Jadwiga poruszyła się na dźwięk tego głosu. Uklękła przed krucyfiksem i poczęła się modlić czas jakiś; potem wstała orzeźwiona, uczuła, że jest znów silną, przygładziła włosy, uporządkowała odzież na sobie.

— O! Boże, Boże, dopomóż mi!

Z tą modlitwą na ustach weszła na ganek, do dziadków. Staruszkowie słuchali czytającej na głos pani Barbary; wejście wnuczki przerwało czytanie, dziadkowie uśmiechnęli się do niej. A ona zdwoiła teraz pieszczoty dla tych drogich swoich, którzy niegdyś, nie ze złego serca, lecz z nieświadomości zbłądzili, przez zaniedbanie tego, co przekazali wnuczce, na dobę trudnych i zawikłanych okoliczności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Wesele landszturmisty, koszarowa farsa aż w czterech aktach, wzięta z francuskiego i zlokalizowana przez pana Jakubowskiego — nie należy do szczęśliwych utworów tego rodzaju, w których pomimo pewnej karykaturalności, powinna być miara artystyczna. Może być, że na francuskich scenach gra się to jakoś inaczej, ale tak, jak u nas zlokalizowane *Wesele landszturmisty*, jest przeładowane konceptami i sytuacjami, z których przeszło połowa znane są oddawna i bez ceremonji zeskamotowane z różnych kątów. Niektóre sceny są poprostu idjotyczne, a te ciągłe koszary, atmosfera stajenna i koncepta żołnierskie, djabelnie się już przejadły zwłaszcza, że już n. p. „W kawalerze z fijołkami“ i w „Wojnie podczas pokoju“, dowcipniej daleko podobne awantury są nakreślone.

Sądzimy też, że pan „lokalizator“ mógł był oszczędzić trochę dobrej sławy naszego aktorskiego świa*ka i zamiast Doremi aktorki dać jakaś inną awantnrnicę. I ta scena z operetką w Woli Justowskiej, jest niesmaczna... Po co to bezmyślnie obniżać świat aktorski w oczach szerszej publiczności, kiedy i tak...

O charakterach w *Weselu landszturmisty*, ani mowy być nie może — są to wszystko karykatury i do tego niedołężnie rysowane i bez najmniejszej znajomości anatomji psychologicznej.

Nie można się zgodzić, bezwarunkowo, na to, aby takie Doremi grała panna Pankiewicz — to przecież szkoda tego rodzaju talentu na podobnie płytkie i banalne postacie — Doremi mogłaby bezpiecznie grać pana Urbanowicz.

Z gromady przeróżnego rodzaju — dwie główne role spoczywały w rękach pana Kwiecińskiego i p. Frenkla i, naturalnie, odegrane zostały wybornie. W innych mniejszych, niby charakterystycznych rolach, zwracali na siebie uwagę panie: German i Piasecka, oraz panowie: Walewski, Piasecki, Szobert, Starzewski, Święcki, Gasiński, Kiczman i inni.

Barwna i ożywiana wystawa zwłaszcza też na dworcu kolejowym w Krakowie, oraz całe mis-en-scène — były najlepszą stroną *Małżeństwa landszturmisty*.

Operetka *Kapitan Fracassa* kompozycji Dellingera, przedstawiona po raz pierwszy na skarbkowskiej scenie w przeszłym tygodniu — należy, bezwątpienia, do lepszych operetek, choć nie wolna jest od pewnych pretensjonalnych epizodów muzycznych zarywających na operę, co jej, bynajmniej, nie dodaje wartości — ale za to robi ją . . nudniejszą. Operetka ta, dzięki także ładnej wystawie, która się zmienia w każdym akcie, a jest ich trzy duże — utrzyma się na repertuarze, zwłaszcza też, że dobrze jest reżyserowana i libretto dobrze, a miejscami dowcipnie przetłómaczone.

Tytułowa postać jest to rodzaj operetkowego Falstafa i może dla tego pod względem charakterystyki najlepsza. Grał ją ze zwykłym humorem i werwą p. Myszkowski i obdarzył publiczność gromadą kupletów... Dość wysoką i trudną partję melancholijnego złotnika, odśpiewał wcale dobrze p. Laskowski.

Pani Radwan i pani Skalska huczne zbierały oklaski za piękny śpiew — wyglądały też ładnie i powabnie.

Mniejsze rólki stosownie były odegrane przez pp. Kiczmana, Gasińskiego i innych, oraz przez pannę Wajgel i inne. Chóry śpiewały doskonale. Kostiumy świeże i ładne.

Telegramy »Iskry«.

Berlin. Przy osobistej rozmowie cara z cesarzem nikogo nie było, a więc nikt nie wie, co mówiono — wszyscy, jednak wiedzą, że pokój jest zapewniony.

Petersburg. Car wrócił do Petersburga w doskonałym humorze i był tak dobrze usposobiony, że po całych dniach nic nie robił, tylko chodził po pokojach i gwizdał.

Warszawa. Świętochowski, redaktor „Prawdy“ otrzymał podziękowanie od Hurki za artykuły wymierzone przeciwko Anstrji. Hurkowa pocałowała go w czoło, pobłogosławiła i dała mu konfitur z kwaśnym ogórkiem...

Gorlice. Burmistrz Biechoński otrzymawszy wiadomość, że jego antogonista zatwierdzony został przez Sejm, jako poseł — dostał czarnej melancholji i lekarze kazali mu używać różowych okularów.

Poznań. Powstał projekt, aby zakupić dom, pomieścić w nim najdokładniejsze mappy, wartości, nazwy i t. p. majątków, oraz nazwiska, właścicieli, którzy tę ziemię polską sprzedali komisji kolonizacyjnej i nazwać ten dom: *Muzeum bez czci i wiary.*

Drobnostki humorystyczne.

Pewnemu rannemu żołnierzowi odjęto w szpitalu nogę — obecny felczer uspokaja go, jak może.

— Co mi tam pomoże to wszystko, co pan mówi woła niepocieszony żołnierz — ja zawsze mojej nogi żałować będę.

— Mała szkoda, odpowiada felczer — mieliście przecie nagniotek na jednym palcu, który was tak bolał...

Na jednej z ulic w Paryżu, stara i otyła dama wsiadła do stojącej karetki, powiedziała dorożkarzowi dokąd ma jechać i zatrzasnęła drzwiczki. — Dorożkarze, w ogóle, nie lubią wozić starych kobiet, bo im nigdy te panie nie dają na piwo — więc i ten chciał się od niej wykręcić. Gdy tedy zatrzasnęła drzwiczki, dorożkarz zamiast jechać, zapukał biczyskiem.

— Radzę pani nie zamykać drzwiczek — niech się wietrzy...

— Dlaczego?

— Bo właśnie przed chwilą przewoziłem dwóch chorych na cholerę do szpitala...

W sekundę damy już nie było w karetce...

W sądzie.

— Nie wstyd ci, że policja spitego, jak bydlę, musiała cię zabrać z ulicy, gdzie wywoływałeś publiczne zgorszenie.

— Panie sędzio — ja temu nie winien...

— Jakto?...

— W naszym podwórzu zepsuła się studnia, wody dostać nie można — cóż miałem pić...

Na egzaminie w uniwersytecie.

Proszę mi powiedzieć do czego służy kaucja?

— Kaucja... jest to rzecz, która... w danym razie zabezpiecza...

— A zatem, prosze pana, jeżeli pan weźmiesz parasol, aby się zabezpieczyć od deszczu, to pański parasol będzie także kaucją...

Pomiędzy lekarzami.

— Cóż, dużo kolega ma chorych?...

— At psie czasy! — każdy co zachoruje, to na drugi dzień zdrów...

— Ja znów mam prawdziwy *pech* — mój chory, każdy prawie na drugi dzień umiera...

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Józef Duiley w Gardiner (Ameryka). — Zeszyty: „Klejnotów“, oraz „Nasze życie“ wraz z bieżącym numerem w zeszłym tygodniu wysłaliśmy. Jak tylko jakiego numeru brakować będzie, prosimy napisać, a natychmiast poślemy. — Nad stratą pańską w skutek pożaru miasta, serdecznie bolejemy.

P. Gr. w Kołomyi. Rękopism monologu otrzymaliśmy — będzie zamieszczony w przyszłym numerze.

P. L. K. w Krakowie. Rysunki z chęcią będziemy umieszczać, ale muszą być dokładniej wykończane i w taki sposób cieniowane, jak we francuskich pismach humorystycznych i, jak pan widzi w naszej „Iskrze“. Co do nadesłanych, są zanadto rąbane — porozumimy się z panem bliżej listownie.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.